

Kronika tygodniowa.

Trzeba mieć szczęście i być przystojnym — powiada Niemiec — a będzie się człowiekowi w życiu dobrze powodziło, choć ono, jak koszulka dziecka, bywa zwykle i krótkie i dość nieczyste. Że przystojnym jestem, w to nie wątpię, mówi mi to bowiem codziennie lustro, powtarza czasem moja droga Weronika, ogromnie, nawiasem mówiąc, dumna od czasu opublikowania listu magistrackiego proroka, który jej imieniu poświęcił krótką wzmiankę, oraz różne białogłowy, bez względu na to, czy mają owłosienie blond, czy też ciemne, teraz zaś przychodzę do przekonania, że mam i szczęście, choć takie szczęście kto inny nazwałby z pewnością pechem.

W poprzedniej kronice pisałem dość długo i szeroko o pięknej polskiej jesieni, zaznaczając, że deszcz codziennie pada „najwyżej“ dwa razy, a tu zanim numer odnośny *Nowości Ilustrowanych* opuścił prasę drukarską, wspaniała pogoda, że aż żal człowiekowi, iż się dusi w murach miasta, a nie buja gdzieś po naszych pięknych górach. Ciągnie też każdy, kto ma tylko nogi ku chodzeniu, wybiera się bodaj za rogatki miasta, aby tam tyknąć świeżego powietrza, za które się jeszcze nie nie płaci, a używać go można dowoli i to bez kartek.

Dziś o pogodzie nie napiszę, będąc pewnym, że do tygodnia wzięłaby w łeb, zwłaszcza iż zbliżają się święta Kuczek, a wówczas deszcz jest konieczny potrzebny, by imitował padanie mанны z nieba podczas pobytu Żydów na pustyni. Prosił mnie zaś o pogodę także i jeden z mych politycznych przyjaciół, który teraz właśnie wyjechał na wypoczynek „letni“ do Zakopanego, korzystając z powrotu rodziny do Krakowa. Bawiła ona na willegiaturze w Rabce, ale nie tyle dla siebie, ile ze względu na ulubionego kotka, Acunia, który, biedak, od początku wojny nie miał sposobności oddychania prawdziwym, nie fałszowanym, świeżym powietrzem i zapolowania sobie na ptaszki, gdyż miejskie myszy już mu się przejadły, zresztą są zbyt chude, dzięki poprawiającej się coraz bardziej aprowizacji.

Wrócili wszyscy wprawdzie z przybytkiem żywej wagi, dochodzącym u poszczególnych osobników nawet i do siedmiu kilogramów (mówię to naturalnie o ludziach, gdyż cały „Acunia“ tyle wraz z ogonem nie waży...) ale dość zdęgnięci ciągle niepogodą, „Acunia“ zaś niegościnnym przyjęciem przez miejscowe koty, które go, spokojnego mieszczucha, chcącego sobie nieco na świeżem powietrzu porolować, lekko poturbowały, czego dotąd nosi znaki na swem ciele, przypominające mi, że *cavalieria rusticana* nie zawsze jest pewna i bezpieczna.

Rabczańskie powietrze i tamtejsze „papu“ okazało się przecież w każdym razie doskonałym, w przeciwieństwie do Poronina, gdzie i jedno i drugie w tym roku zawiodło. Tak mnie przynajmniej zapewniał inny z mych znajomych, który po trzymiesięcznym pobycie powrócił stamtąd z widocznym ubytkiem żywej wagi, choć codziennie wraz z rodziną, złożoną z dwójga osób, wycofał po sześć litrów mleka „prosto od krowy“. Ale widocznie stajnia, w której pędzi monotonna żywot owa krowa, znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie studni, albo też droga ze stajni do domu koło niej prowadzi.

Co powie ów jegomość, który obecnie wyleciał do Zakopanego, nie wiem, ale właśnie ze względu na niego o pogodzie nie piszę, by przypadkiem nie miał potem do mnie pretensyi, że wpłynąłem na jej zmianę.

W każdym razie powtarzam raz jeszcze, że mam szczęście w życiu i dzięki zapewne temu nie byłem w Rabce, skąd mógłbym oyl. podobnie jak ów kotek, Acunia, powrócić ze śladami firtna na łonie przyrody, nie byłem też skazany na „odżywianie się“ mlekiem poronińskim, po którym się chudnie.

Siedziałem przez całe wakacje w Krakowie, pilnując kronikarskiego kałamarza, by nie wysechł i jestem dziś z tego zupełnie zadowolony.

Nie żałuję też bynajmniej, iż nie wybrałem się tego roku na odpust do Mogile, gdzie, jak mnie zapewniał jeden z obywateli rozszerzonego Krakowa, „nie było w tym roku nijakiej zabawy“.

Wystarczy powiedzieć, że nawet w odpustową niedzielę, kiedy to po inne lata at roilo się tutaj od pobożnych patników, którzy pamiętali nie tylko o duszy ale i o grzesznym ciele i przywozili ze sobą całe kosze prowiantów w stanie stałym i płynnym (świeże piwko jest na miejscu i to zupełnie *gratis*..), tego roku zauważono tylko jedno jedyne wesołe towarzystwo, które przybyło z harmonią i ćwiartówką piwa. Cicho i smutno było też nad klaszternymi stawami, kędy dawniej rozbiłano obozowiska. Karpie, o ile ich naturalnie

w dni beźmięsne nie zjedzono, kiwały też z podziwu ogonami, nie mogąc głową i narzekały na tę paskudną wojnę, gdyż i im dawniej coś się z tych biesiad *szub Jove* dostawało.

Ale trudno dziś wybierać się na wycieczkę według dawnych tradycji. Kosz znalazłby się jeszcze tu i ówdzie, ale co w nim pomieścić?... Oto pytanie, na które mógłby dać odpowiedź jedynie Urząd wyżywienia ludności, ale on z zasady milczy bardzo dyskretnie.

Nie widziało się też tyle kramów, co po inne lata, nie było bułek z najrozmaitszymi smakotkami, nie było ich też stawiać dla kogo. Jednem słowem kłapa i to na całej linii. Najpiękniejsze tradycje starego Krakowa idą w niepamięć dzięki wojnie. Mieszkańcy podwawelskiego grodu zaczynają żyć zupełnie innem życiem, niż ich dziadowie i ojcowie. A to wielka szkoda!... Jeśli się nie mylę to i ja moją Weronikę poznałem na odpuscie w Mogile. Dawne to czasy, wspominam je przecież bardzo chętnie i z rozrzewieniem i bynajmniej nie żałuję, iż wówczas wziąłem na swe barki ów prawdziwy „kryż Pański“, który dotąd dźwigam i dobrze mi z tem.

Tak to bywało *in illes tempore*... Poznawano się na Bielanych, w Mogile, w Tyńcu ostatecznie nawet na Emansie lub na Szałce, dziś dzieje się to w Esplanadzie, u Drobniera lub w kinie...

Ale jaka różnica między temi małżeńskimi stadtami z przed lat, a dzisiejszemi, rozlatującemi się w niwecz za najłżejszym podmuchem wiatru... A wiatry takie wieją teraz aż nazbyt często...

Takie to refleksje obudził we mnie odpust w Mogile. Źródłem drugiej ich seryi był kosz, w którym przed laty wozilo się zapasy na zamiejskie wycieczki. Aż mi się na placz zebrało, gdy spojrział w jego próżnię, przypominającą niecoś nicności...

Miałem zamiar pójść w ślady proroka i na ten temat zacząć nucić żalosne treny, niestety, czuję, że nie sprostalbym zadaniu, śpiewam bowiem i dość fałszywie i w obecnych czasach bardzo cienko. Mimo to ubiegałem się swojego czasu o stanowisko profesora śpiewu w szkole głuchoniemych a jeśli go nie uzyskałem, to nie z powodu braku odpowiednich kwalifikacyi, lecz należytej protekcyi, która u nas gra zawsze rolę pierwszorzędną.

A jest, przysięgam mi chyba każdy, nad czem płakać. Zle się u nas dzieje w kierunku aprowizacyjnym, a to zle z każdym dniem staje się coraz większem, zwłaszcza że powołane i niepowołane czynniki jakgdyby się wysilały, by sytuację pogorszyć, a nie poprawić.

Bo inaczej nie można sobie wytłumaczyć najświeższego rozporządzenia na mocy którego nie wolno sprowadzać mąki z Królestwa Polskiego, która dotąd ratowała głodnych Krakowian. Sprzedawano ją wprawdzie po bardzo wysokich cenach, ale, bądź co bądź, była. Chętnie ją też kupowali ci, którzy mają pieniądze, a takich dziś dość. Z ową mniejszością, nie mającą grosiwa, nikt się dziś nie liczy, czyniąc bardzo mądrze i słusznie, kto bowiem dziś goły sam sobie winien, iż pieniędzy zrobić albo nie miał albo nie chciał. Teraz niech za to pokutuje. Nie powinni natomiast pokutować ci, którzy tych papierków nabierali całe stosy. Zamiast mąki i chleba ich przecież jeść nie będą.

Następstwem owego zarządzenia będzie znowu podwyższenie cen. Mąka do Krakowa będzie dalej przychodzić jak dotąd przychodziła, ale w sposób nielegalny, co musi wpłynąć na jej podrożenie.

Bardziej nie miejscu byłoby wydanie zakazu wywożenia z Galicyi artykułów spożywczych i pilne jego przestrzeganie, bez względu na to, czy się niem zajmują wysoko postawione osobistości, nawet różnego rodzaju excellence, wobec których organa kontrolne są bezsilne. Ale u nas oddawna panuje już ten zwyczaj, że tego, kto, dajmy na to, ukradł korną, nazywa się złodziejem i publicznie potępia, ten zaś, kto bliźniego skrzywdzi na miliony, uważany bywa za bardzo zdolnego finansistę i cieszy się ogólnym szacunkiem.

Zupełnie podobnie dzieje się i w tym kierunku. Na małych paskarzach drży ze strachu skóra, wielcy śmieją się w kuliak i robią dalej, co im się podoba, pewni bezkarności.

Prawda, że od czasu do czasu władze zdobędą się na nadzwyczajną energię, przyłapując wielkiego paskarza, o czem trąbi się nader głośno, ale dzieje się to zwykle przypadkiem, przez fatalny zbieg okoliczności, kończy zaś bynajmniej nie tragicznie. Owszem, winowajcę się jeszcze przeprasza, iż padł ofiarą pomyłki.

Niedawno mieliśmy w Krakowie taką sferę, nazywamy ją kiełbasową. U pewnego pana radcy skonfiskowano wielki zapas kiełbas, przeznaczonych na wywóz na Zachód (to jednak dziwne, że nasze kiełbasy czują stale taki *Drang nach Westen*..) narobiono też z tego powodu wiele krzyku, zwłaszcza, że nie tak dawno i inny pan radca uprawiał też podobny proceder i dopiero Rada miejska musiała chemicznie prać

jego honor. Wyszedł z tej kąpieli zupełnie czysty! Mieimy nadzieję, że i teraz powtórzy się to samo! a Kraków będzie musiał powiedzieć sobie, że do panów radców nie ma szczęścia, zwłaszcza ze względu na kiełbasy.

Ktoś tam, starający się ich uniewinnić, chwali ich dobre serce i powiada, że działali tylko dla dobra bliźnich, starając się, by biedne Szwabiska nie wyginęły z głodu. Koszula wprawdzie bliższą ciała, a tą koszulą nasza ludność, ale my się bez kiełbasy możemy łatwo obejść, będąc z dawna przyzwyczajeni do przestawiania na małym, o co się już oddawna starają miarodajne czynniki.

Jaki obrót wzięnie sprawa i jak się skończy, nikt dziś nie wie, przypuszczać przecież należy, że nie tak znowu tragicznie, jak się na to z początku zanosilo.

Od kiełbas do końca wojny skok dość łatwy, zwłaszcza dla kronikarza, który jest przyzwyczajony do podobnych skoków.

Przez kilka dni czuliśmy już przysmak pokojowy, dzięki nocy hr. Bariana do państw wojujących i neutralnych. Zdawało się, że niebezpieczeństwo pokoju jest bliższem niż kiedykolwiek przedtem, w ogromnym strachu byli też wszelkiego rodzaju przemysłowcy wojenni i ci, którzy otrzymali pożyczki wojenne, płatne w rok po definitywnem zawarciu pokoju.

Na szczęście uratował sytuację pan Wilson, oświadczając w imieniu koalicji, że jest gotów do... dalszego prowadzenia wojny. W tym samym zupełnie tonie odezwały się i państwa neutralne, którym, podobnie jak naszym paskarzom, zależy na tem, by się wojna nigdy nie skończyła, a oni mogli na niej dalej robić dobre interesy. Kto im zaś zaręczy, że na zawarciu pokoju wyjdą dobrze, a nie jak s. p. Zabłocki na mydle, albo pan radca na kiełbasie? Z pomiędzy członków koalicji jedyny Czarnogórzec głosowałaby za pokojem, gdyż tęskni już do swych owieczek i świnek, a zresztą jemu zawsze było wszystko jedno, czy to były korony, ruble, czy franki, byle ich było dużo i nadchodzili regularnie.

Czy pan Wilson nie wwrwał się w tym wypadku jak Filip z Konopi, wiedzieć jeszcze nie można. Podobno najpoważniejsze pisma angielskie radzą korzystać ze sposobności i spróbować, czy się przypadkiem porozumienie nie da do skutku doprowadzić. Widocznie i one, choć teraz im się lepiej powodzi, mają już dość tej wojny i rade byłoby widzieć rychły jej koniec.

Jak my na tem wyjdziemy, tego także przewidzieć nie można. Powiadają nam, że możemy spać spokojnie, bo obie strony o nas myślały, ale, jakby na złość, sprawę niepodległości Polski postawiono na trzynastym miejscu, a liczba ta lubi czasem być nieszczęśliwą.

Ja sądzę, że dotąd spaliśmy dość i raczej powinniśmy się już raz obudzić, aby się nie stało z nami jak z tym śpiącym. w czasie którego snu przyszedł nieprzysiężnik i zasiał mu kłótu między przysięgą. A takich nieprzyjaciół, którzy czyhają tylko na sposobność, by nam zaszkodzić, mamy dość, nie tylko wśród obcych, ale i w swem własnym gronie. Są oni zaś ślepiem narzędziem w rękach tych, którym zawsze na tem zależało, byśmy nigdy nie wyszli z roli dziecka, które należy wodzić na pasku.

Czy się więc w myśl życzenia hr. Buriana zbierze konferencja, mająca się zająć nad tem, czy należałoby broń powiesić na kręku, czy też nie, kronikarz jest zdania, że o koniec wojny należy się wszelkimi siłami starać, ale też pamiętać i o sobie, bo jeszcze nigdy nie wyszedł na tem dobrze ten, kto sam o sobie nie myślał, ale zdał się na łaskę i niełaskę innych.

O ile rozchodzi się o spanie, to na brak czasu i sposobności narzekać chyba nikt nie może, zwłaszcza zaś od dn'a 15 września, gdy nam zaprowadzono znowu czas zimowy. Stało się to w sam żydowski Sądny Dzień, wobec czego prawowierni synowie Izraela musieli się modlić o godzinę dłuższą, a przeznaczyl ją na uproszenie Pana Boga, aby wojna przypadkowo się nie skróciła.

Operacyi przesunięcia zegarków dokonano bezboleśnie. Boleli chyba ci, którzy zegarków nie mają, ale takich dziś mało. Z tem tylko było trochę nieporozumienia, iż ludziska nie wiedzieli właściwie, czy rząj wskazówek cofnąć, czy posunąć naprzód, gdyż mówiono i pisano rozmaicie. Żywioły postępowe były za posunięciem, konserwatywne za cofnięciem i one się ostatecznie utrzymały przy swoim.

